



ZYGMUNT MIŁOSZEWSKI

ZIARNO PRAWDY

To jest darmowy fragment powieści.
Przeczytaj, wciągnij się i jeśli jesteś ciekaw co wydarzy się dalej,
zapraszamy do naszego sklepu:

www.heca.art



Spółka
Autorska
Heca

Copyright © Spółka Autorska Heca

ROZDZIAŁ PIERWSZY

ŚRODA, 15 KWIETNIA 2009

Żydzi uroczystie świętują siódmy dzień święta Pesach i wspominają przejście przez Morze Czerwone, dla chrześcijan to czwarty dzień Oktawy Wielkanocnej. Dla Polaków – drugi dzień trzydniowej żałoby narodowej, ogłoszonej po pożarze w Kamieniu Pomorskim. W świecie wielkiej piłki Chelsea i Manchester United awansują do półfinału Ligi Mistrzów, w świecie polskiej piłki kilku kibiców ŁKS zostaje oskarżonych o nawoływanie do nienawiści na tle różnic narodowościowych poprzez noszenie koszulek z napisem „Śmierć żydzewskiej kurwie”. Komenda Główna Policji ogłasza raport o przestępczości w marcu – w porównaniu do marca 2008 wzrosła o 11 procent. Policja komentuje: „Kryzys będzie zmuszał ludzi do popełniania przestępstw”. W Sandomierzu już zmusił ekspedientkę z mięsnego do sprzedawania spod lady papierosów bez akcyzy, kobieta została zatrzymana. W mieście zimno jak w całej Polsce, temperatura nie przekracza 14 stopni, ale to i tak pierwszy słoneczny dzień po lodowatej Wielkanocy.

Duchy na pewno nie przychodzą o północy. O północy trwają jeszcze wieczorne filmy w telewizji, nastolatkwie myślą intensywnie o swoich nauczycielkach, kochankowie zbierają siły przed następnym razem, stare małżeństwa odbywają poważne rozmowy o tym, co się dzieje z naszymi pieniędzmi, dobre żony wyciągają ciasto z piekarnika, a źli mężowie budzą dzieci, próbując po pijaku otworzyć drzwi do mieszkania. Zbyt wiele jest o północy życia, aby duchy zmarłych mogły zrobić należyte wrażenie. Co innego przed świtem, kiedy przysypiają nawet pracownicy stacji benzynowych, a brudne światło zaczyna wydobywać z mroku byty i przedmioty, których istnienia nie podejrzewaliśmy.

Dochodziła czwarta nad ranem, słońce miało wstać za godzinę, a Roman Myszyński walczył ze snem w czytelni Archiwum Państwowego w Sandomierzu, otoczony przez zmarłych. Wokół niego piętrzyły się dziewiętnastowieczne księgi parafialne i mimo że większość wpisów dotyczyła radosnych momentów życia, mimo że chrztów i ślubów więcej było niż aktów zgonu – to i tak stale czuł towarzyszący mu odór śmierci, nie potrafił pozbyć się myśli, że wszystkie te noworodki i wszyscy ci nowożeńcy od co najmniej kilkudziesięciu lat gryzą ziemię, a z rzadka odkurzone i przeglądane księgi są jedynym świadectwem ich istnienia. Choć akurat oni i tak mieli szczęście, biorąc pod uwagę to, jak z polskimi archiwami obesła się wojna.

Było cholernie zimno, w termosie skończyła się kawa, a jedyną myślą, jaką potrafił skonstruować Myszyński, było bezstanie się za idiotyczny pomysł, żeby założyć firmę zajmującą się poszukiwaniami genealogicznymi, zamiast wziąć asystenturę. Na uczelni dochód niewielki, ale stały, ubezpieczenie opłacone – same plusy. Zwłaszcza w porównaniu z posadami w szkołach, na które trafili jego koledzy z roku, tak samo źle płatnymi, ale wzbogaconymi o wieczną frustrację i groźby karalne ze strony uczniów.

Spojrzał na rozłożoną przed sobą księgę i na zdanie ładnie wykaligrafowane przez księdza z parafii w Górach Wysokich, do której należały Dwikozy, w kwietniu 1834 roku: „Stawający i świadkowie czytać nie umieją”. To by było na tyle, jeśli chodzi o szlacheckie pochodzenie Włodzimierza Niewolina. A gdyby ktoś jeszcze miał wątpliwości, że być może przynoszący do chrztu rodzic prapradziadka Niewolina miał po pępkowym gorszy dzień, to rozwiewał je jego zawód – włościanin. Myszyński był pewien, że jak już doszpera się do aktu ślubu, okaże się, że wzmiankowana w akcie urodzenia Marjanna Niewolinowa – piętnaście lat młodsza od małżonka – była dziewczką służebną. A może mieszkała przy rodzicach.

Wstał i przeciągnął się energicznie, potrącając palcami wiszące na ścianie stare, przedwojenne zdjęcie sandomierskiego rynku. Poprawił je, myśląc, że plac z pocztówki wygląda jakoś inaczej niż dziś. Skromniej. Wyrżał przez okno, ale widoczna w perspektywie ulicy pierzeja rynku zasłonięta była ciemną mgłą przedświt. Co za bzdura, dlaczego stary rynek miałby wyglądać inaczej, po co w ogóle o tym myśli, musi wziąć się do roboty, jeśli chce zrekonstruować przeszłość Niewolina i zdążyć na trzynastą do Warszawy.

Co go jeszcze może spotkać? Nie powinien mieć trudności z aktem ślubu, także akty urodzenia Jakuba i Marjanny muszą gdzieś być, szczęśliwie Kongresówka była dla badaczy archiwów dość łaskawa. Od początku XIX wieku w Księstwie Warszawskim dzięki kodeksowi napoleońskiemu wszystkie akta metrykalne musiały być sporządzane przez parafie w dwóch egzemplarzach i przekazywane do archiwum państwowego – później zasady uległy zmianie, ale i tak było nieźle. W Galicji – gorzej, a już Kresy to prawdziwa genealogiczna czarna dziura, w Archiwum Zabuzzańskim w Warszawie leżały jedynie jakieś szczątki akt. Czyli z Marjaną, urodzoną około 1814 roku, nie powinno być problemu. Jeśli chodzi o Jakuba – końcówka XVIII wieku to ciągle nieźle, księża byli lepiej wykształceni i poza wyjątkowo

leniwymi parafiami księgi są raczej kompletne. W Sandomierzu pomagał fakt, że w czasie ostatniej wojny nie puścili go z dymem ani Niemcy, ani Sowietci. Najstarsze akta pochodziły z lat osiemdziesiątych XVI wieku. Wcześniej i tak ślad się urywał, dopiero na soborze trydenckim w XVI wieku Kościół wpadł na pomysł, żeby swoje owieczki spisywać.

Potarł oczy i nachylił się nad rozłożonymi aktami. Czyli potrzebne są mu akta ślubu z Dwikoz z ostatnich dwóch lat i może od razu poszuka matki. Z domu Kwietniewska. Hmm. W głowie badacza zadzwonił alarmowy dzwoneczek.

Mijały dwa lata od chwili, kiedy wbrew radom wszystkich założył firmę Złoty Korzeń. Na który to pomysł wpadł, gdy w czasie zbierania materiałów do doktoratu w Archiwum Głównym Akt Dawnych zaczął spotykać ludzi z szaleństwem w oczach, nieporadnie szukających informacji o przodkach i próbujących wyrysować swoje drzewo genealogiczne. Jednemu chłopakowi pomógł z litości, jednej dziewczynie ze względu na obezwładniająco piękny biust i w końcu Magdzie, bo była rozkoszna ze swoją wielką planszą genealogiczną, przypominającą Drzewo Jessego. Skończyło się tak, że Magda i jej plansza mieszkały u niego przez pół roku. O pięć miesięcy za długo, wyprowadzała się ze łzami w oczach i wiedzą, że praprababka Cecylia była bękartem, bo w 1813 roku do chrztu podawała ją akuszerka.

Wtedy postanowił, że można wykorzystać ten genealogiczny szal i sprzedawać swoją umiejętność korzystania z archiwów. Rejestrując działalność, był bardzo podniecony wizją zostania detektywem historii i nie przyszło mu do głowy, że nazwa Złoty Korzeń sprawi, że każdy, dosłownie każdy klient najpierw zapyta, czy ma coś wspólnego ze słynnym pływakiem, a potem wysili się na niewybredny żart.

Niczym w powieściach *noir*, na początku głównie czekał na telefon i gapił się w sufit, ale w końcu klienci się pojawili. Od przypadku do przypadku i od polecenia do polecenia było ich coraz więcej, w większości niestety nie długonogie brunetki

w pończochach. Przychodziły przede wszystkim dwa typy. Typ pierwszy to zakompleksieni okularnicy w pulowerkach, o wyrazie twarzy „no ale co ja ci zrobiłem?”, którym w życiu nie wyszło tak bardzo, że mieli nadzieję znaleźć jego sens i wartość w dawno rozłożonych przodkach. Z pokorą i ulgą, jakby spodziewali się tego ciosu, przyjmowali informację, że są potomkami nikogo znikąd.

Typ drugi, typ Niewolina, od początku dawał do zrozumienia, że nie płaci za informację, iż wywodzi się z rodu pijanych furmanów i przechodzonych dziwki, tylko za doszukanie się herbowej szlachty i miejsca, gdzie można zawieźć dzieci i pokazać, że tutaj stał dwór, w którym pradziadek Polikarp leczył rany odniesione w powstaniu. Jakimkolwiek powstaniu. Na początku Roman był do bólu szczery, potem uznał, że jest jednak prywatną firmą, a nie instytutem badawczym. Skoro szlachta oznaczała premie, napiwki i kolejnych klientów – niech będzie szlachta. Gdyby ktoś miał wyrobić sobie opinię na temat przeszłości Polski tylko po wynikach jego śledztw, łatwo doszedłby do wniosku, że wbrew pozorom nie jest to kraj prymitywnych chłopów, lecz dystyngowanych panów, w ostateczności dobrze prosperujących mieszczan. Mimo różnych nagięć Roman nigdy nie kłamał, po prostu zwykle dotąd szperał w bocznych odnogach, aż znalazł jakiegoś pana na zagrodzie.

Najgorzej było trafić na Żyda. Argumenty historyczne, że w międzywojennej Polsce dziesięć procent mieszkańców stanowili Żydzi, w związku z czym zwłaszcza na terenach Kongresówki i Galicji można odnaleźć przodka wyznania mojżeszowego, do nikogo nie trafiały. Dwa razy mu się to zdarzyło – za pierwszym razem został zbluzgany, a za drugim mało nie dostał po gębie. Najpierw nie mógł wyjść ze zdziwienia, potem podumał kilka dni, a w końcu doszedł do wniosku, że klient nasz pan. Zwykle poruszał sprawę w czasie pierwszej rozmowy i jeśli się okazywało, że temat budzi nadmierne emocje – gotów był zamieść ewentualnego Icka pod dywan. Zdarzało się to jednak

niezmiernie rzadko – Zagłada ścięła koronę izraelskiego drzewa genealogicznego.

A teraz proszę, pojawiła się w dziewiętnastowiecznych dokumentach Marjanna Niewolin, de domo Kwietniewska. To nie musiało być regułą, ale nazwiska wzięte od nazw miesięcy często były nazwiskami przechrztów, przyjmowanymi od miesiąca, w którym odbył się chrzest. Podobnie nazwiska zawierające w sobie dni tygodnia, albo zaczynające się od „Nowa”. Także nazwisko Dobrowolski mogło wskazywać na to, że jakiś przodek dobrowolnie przeszedł z wyznania mojżeszowego na chrystusowe. Roman lubił wierzyć, że za takimi historiami stała miłość. Że ludzie, mając do wyboru religię albo uczucie, wybierali to drugie. A jako że katolicyzm był w Najjaśniejszej religii panującą, zwykle w tę stronę odbywały się konwersje.

Właściwie Roman mógł porzucić ten trop, i tak był zaskoczony, że udokumentowane korzenie Niewolina sięgają tak daleko. Ale po pierwsze, był ciekaw, a po drugie, zdenerwował go ten buc wymachujący sygnetem z miejscem na herb.

Roman uruchomił w laptopie jedno ze swoich podstawowych narzędzi – zeskanowany *Słownik geograficzny Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich*, monumentalne dzieło z końca XIX wieku, gdzie opisano właściwie każdą wioskę znajdującą się w granicach przedrozbiorowej Rzeczypospolitej. Odszukał hasło Dwikozy, aby dowiedzieć się, że była to wieś i folwark poduchowny, licząca 77 domów i 548 mieszkańców. Ani słowa o gminie żydowskiej, co naturalne, biorąc pod uwagę, że zwykle obowiązywał zakaz osiedlania się Żydów w dobrach kościelnych. Czyli jeśli Marjanna pochodziła z okolicznej rodziny przechrztów, trzeba szukać w Sandomierzu albo Zawichoście. Przejrzał skany i dowiedział się, że w Sandomierzu było 5 domów zajezdnych żydowskich, synagoga, 3250 katolików, 50 prawosławnych, 1 protestant i 2715 Żydów. Za to w Zawichoście na 3948 dusz do religii mojżeszowej przyznawało się 2401 osób. Sporo. Spojrzał na mapę. Intuicja mówiła mu, że Zawichost to lepszy strzał.

Przegonił myśl, że marnuje czas, wstał, zrobił kilka przysiadów, skrzywił się, słysząc trzaski w kolanach, i wyszedł z czytelnicy. Pstryknął przełącznikiem w ciemnym korytarzu, ale nic się nie stało. Pstryknął jeszcze dwa razy. Ciągłe nic. Rozejrzał się niepewnie. Choć był weteranem spędzania nocy w archiwach, poczuł niepokój. *Genius loci*, pomyślał i westchnął litościwie nad swoją skłonnością do fantazjowania.

Zniecierpliwiony jeszcze raz wcisnął przełącznik i po kilku błyskach klatkę schodową zalało trupie światło jarzeniówek. Roman spojrzał w dół na gotycki portal, prowadzący z części administracyjnej do archiwum. Wyglądał jakoś tak, jak by to powiedzieć, groźnie.

Odchrząknął, żeby zabić ciszę, i ruszył w dół, myśląc, że ciekawego smaczku dodaje sprawie Niewolina i jego prapra de domo przechrzcie Kwietniewskiej fakt, że sandomierskie archiwum mieści się w budynku osiemnastowiecznej synagogi. Czytelnia i pokoje pracowników znajdowały się w dolepienym do świątyni budynku kahału, siedzibie gminnej administracji. Same akta zajmowały główne pomieszczenie modlitewne synagogi. Było to jedno z najciekawszych miejsc, jakie widział w swojej karierze pradetektywa.

Zszedł na dół i pchnął ciężkie, nabijane ćwiekami żelazne drzwi. Uderzył go orzechowy zapach starego papieru.

Stara sala modlitewna miała kształt dużego sześcianu, który w interesujący sposób zaadaptowany został na potrzeby archiwum. Pośrodku pomieszczenia zbudowano ażurową kostkę, złożoną ze stalowych chodniczków, schodków i – przede wszystkim – półek. Kostka była nieznacznie mniejsza od sali, można było ją okrążyć wzdłuż ścian, można było wejść do środka, w labirynt wąziutkich korytarzy, lub wspiąć się na wyższe poziomy i tam zagłębić w stare akta. Konstrukcja czyniła z tego rusztu jakby przerośniętą bime, w której zamiast Tory studiowało się dokumenty informujące o urodzinach, ślubach, podatkach i wyrokach. Biurokracja jako święta księga ery nowożytnej, pomyślał

Roman. Nie zapalając światła, okrążał ruszt; wodził dłonią po chłodnym tynku. Doszedł tak do wschodniej ściany, gdzie jeszcze kilkadziesiąt lat temu we wnęce zwanej aron hakodesz przechowywano zwoje Tory. Roman zapalił latarkę, światło przecisnęło się przez gęsto unoszące się w powietrzu drobinki kurzu i wydobyło z ciemności złotego gryfa, trzymającego tablicę z hebrajskim pismem. Podejrzewał, że to jedna z Tablic Przymierza. Skierował światło wyżej, jednak polichromie znajdujące się bliżej sklepienia tonęły w mroku.

Wszedł na najwyższy poziom po stromych ażurowych schodkach, przy akompaniamencie metalicznego echa. Znalazł się tuż pod sklepieniem. Chodząc między pełnymi akt półkami, zaczął oglądać w świetle latarki zdobiące górną część sali przedstawienia znaków zodiaku. Przy krokodylu zmarszczył brwi. Krokodyl? Spojrzał na sąsiedni – strzelec – i zrozumiał, że krokodyl to skorpion. Być może miało to uzasadnienie. Pamiętał, że w judaizmie nie wolno było przedstawiać ludzi. Podszedł do bliźniąt. Wbrew tej wiedzy, przedstawione były jako ludzkie postaci, tylko pozbawione głów. Wzdrygnął się.

Pomyślał, że starczy już tej wycieczki, na dodatek dostrzegł owiniętego wokół okulusa lewiatana. Duch śmierci i zniszczenia otaczał płamę szarego światła, jakby to było wejście do jego podwodnego królestwa, i Romanowi zrobiło się nieswojo. Poczuł nagłą potrzebę opuszczenia archiwum, ale wtedy kątem oka dostrzegł za okrągłym oknem ruch. Wsunął głowę do wnętrza potwora, lecz nie mógł za wiele dostrzec przez brudne szyby.

Po drugiej stronie sali skrzypnęła deska, Roman się poderwał, boleśnie uderzając głową o mur. Zaklął i wypełzł z okulusa. Znowu skrzypnięcie.

– Halo? Jest tam kto?

Świecił latarką we wszystkie strony, ale widział tylko akta, kurz i znaki zodiaku.

Tym razem skrzypnęło tuż obok niego. Roman krzyknął cicho. Chwilę mu zajęło uspokojenie oddechu. Doskonale,

pomyślał, powinienem sobie zafundować jeszcze mniej snu i jeszcze więcej kawy.

Energicznym krokiem skierował się stalowym chodniczkiem w stronę stromych schodów, od ciemnej dziury zięjącej pomiędzy nim a ścianą oddzielała go wątła barierka. Ponieważ najwyższy poziom rusztu był zarazem poziomem doświetlających salę okien, mijał przedziwne konstrukcje, służące do ich otwierania i mycia. Były to jakby zwodzone pomosty, obecnie podniesione do pionu. Aby dostać się do okna, należało odblokować grubą linę i opuścić pomost w ten sposób, aby sięgnął do wnęki okiennej. Roman pomyślał, że jest to mechanizm dość kuriozalny, w końcu ani ruszt z aktami, ani tym bardziej grube mury synagogi nigdzie się nie wybierały, można je było połączyć na stałe. Teraz przypominało mu to okręt z podniesionymi trampami, gotowy do wypłynięcia. Omiótł instalację światłem latarki i podszedł do schodków. Zestawił jedną stopę, kiedy potężny huk wypełnił pomieszczenie, przez stopnie przeszedł wstrząs, a on stracił równowagę i nie spadł na dół tylko dlatego, że obiema rękami złapał się barierki. Latarka wypadła mu z ręki, odbiła się dwa razy od podłogi i zgasła.

Wyprostował się, serce biło mu w zawrotnym tempie. Szybko, w lekkiej histerii, zlustrował otoczenie. To spadł mostek, obok którego przechodził. Patrzył na niego, ciężko dysząc. W końcu się roześmiał. Musiał coś niechcący naruszyć. Fizyka tak, metafizyka nie. Proste. W każdym razie ostatni raz pracuje po zmroku wśród tych wszystkich pratrupów.

Trochę po omacku podszedł do zwodzonego mostka i chwycił linę, żeby podnieść go do pionu. Oczywiście był zaklinowany. Klnąc na czym świat stoi, na kolanach wszedł do okiennej wnęki. Okno wychodziło na te same krzaki, co strzeżony przez lewiatana okulus.

Świat na zewnątrz stanowił teraz jedyne źródło światła, a było to światło nad wyraz liche. Wewnątrz nie dało się zobaczyć praktycznie nic, na zewnątrz przedświt zamieniał się

w wiosenny, nieśmiały jeszcze świt, z mroku wyłaniały się drzewa, dno otaczającego sandomierską starówkę parowu, wille pobudowane na przeciwległej stronie skarpy i mur dawnego klasztoru franciszkanów. Czarna mgła zamieniała się we mgłę szarą, świat był nieostry i mętny, jakby odbity w wodzie z mydlinami.

Roman spojrzął w miejsce, gdzie wcześniej widział ruch – w krzaki tuż pod pozostałościami obronnego muru. Wytężył wzrok, od morza szarości odcinało się tam coś sterylną bielą. Przetarł rękawem szybę, ale istnienie wyrafinowanego mechanizmu zwodzonego mostu najwyraźniej nie skłoniło nikogo do jej częstego mycia, tylko rozmazał kurz na szkle.

Otworzył okno, zamrugął, twarz omiotło mu zimne powietrze.

Jak porcelanowa laleczka pływająca we mgłę, pomyślał Myszyński, patrząc na leżące pod synagogą zwłoki. Były nienaturalnie, niepokojąco białe, świeciły brakiem koloru.

Z tyłu z hukiem trzasnęły ciężkie drzwi do starej synagogi, jakby wszystkie duchy wyleciały zobaczyć, co się stało.

2

Prokurator Teodor Szacki nie mógł zasnąć. Świtało, a on przez całą noc nie zmrużył oka. Co gorsza, ta mała nimfomanka też nie zmrużyła. Chętnie sięgnąłby po książkę, zamiast tego leżał bez ruchu i udawał, że śpi. Poczuł drapanie za uchem.

– Śpisz?

Młasnął kilka razy i mruknął coś na odczepnego.

– Bo ja nie śpię.

Musiał zebrać całą siłę woli, żeby nie westchnąć głośno. Cały napięty czekał, co się wydarzy. Bo coś się wydarzy, tego był pewien. Ciepłe ciało za jego plecami poruszyło się i mruknęło jak postać z kreskówek, która właśnie wymyśliła plan zdobycia

władzy nad światem. A potem poczuł bolesne ukąszenie w łopatkę. Zerwał się z łóżka, ciężkie przekleństwo w ostatniej chwili zatrzymało mu się na zębach.

– Zwariowałaś?!

Dziewczyna oparła się na łokciu i spojrzała na niego zaczepnie.

– No właśnie, straszna ze mnie wariatka, bo jakoś tak sobie pomyślałam, że może jeszcze raz zrobisz mi dobrze. Dżizas, ja to jednak jestem niemożliwa.

Szacki w obronnym geście uniół ręce do nieba i uciekł do kuchni na papierosa. Był już przy zlewie, kiedy dobiegło go zalotne „czekam”. Niedoczekanie, pomyślał, wkładając polar. Zapalił papierosa i włączył czajnik. Za oknem ciemnoszare dachy odcinały się od jasnoszarych błoń, oddzielonych od bladej nicości Podkarpacia ciemniejszą wstęgą Wisły. Przez most przejechał samochód, dwa lejki światła przesuwające się przez mgłę. Wszystko w tym obrazie było monochromatyczne, włącznie z białą ramą okna, pokrytą łuszczącą się farbą, odbiciem bladej twarzy Szackiego, jego mlecznych włosów i czarnej bluzy.

Co za pieprzona dziura, pomyślał Szacki i zaciągnął się papierosem. Czerwony ognek sprawił, że świat przestał być monochromatyczny. Co za pieprzona dziura, w której siedział już kilka miesięcy, i gdyby ktoś spytał go, jak to się stało – wzruszyłyby bezradnie ramionami.

Na początku była Sprawa. Zawsze jest jakaś sprawa. Akurat ta – niewdzięczna i upierdliwa. Zaczęło się od zabójstwa ukraińskiej prostytutki w burdelu na Kruczej, niespełna sto metrów od biura Szackiego zresztą. Zwykle w takich przypadkach znalezienie trupa było końcem sprawy. Wszyscy alfonsi i dziwki ulatniali się w kwadrans, świadków z oczywistych przyczyn nie znaleziono, a ci, którzy się zgłosili, niczego nie pamiętali i można było mówić o szczęściu, jeśli w ogóle udało się zidentyfikować zwłoki.

Tym razem zdarzyło się inaczej. Pojawiła się przyjaciółka zmarłej, zwłoki zyskały imię Irina, alfons nawet przystojną twarz

na portrecie pamięciowym, a wątek świętokrzyski pojawił się, kiedy sprawa była już rozkręcona. Szacki dwa tygodnie jeździł po okolicach Sandomierza i Tarnobrzega razem z Olgą, tłumaczem i przewodnikiem, aby znaleźć miejsce, gdzie dziewczyny przetrzymywano po przyjeździe ze Wschodu. Olga opowiadała, co widziała z różnych okien i czasami zza szyb samochodu, tłumacz tłumaczył, przewodnik zastanawiał się, gdzie to może być, jednocześnie snując doprowadzające Szackiego do białej gorączki sielskie gawędy. Lokalny policjant prowadził i każdym mięśnieniem mimicznym dawał do zrozumienia, że jego czas jest marnowany, bo – jak stwierdził na początku – jedyny burdel w Sandomierzu zlikwidowali latem, a razem z nim panią Kasię i panią Beatę, które dorabiały ciałem po pracy w sklepie i przedszkolu. Reszta to małe cichodajki z technikum spożywczego. W Tarnobrzegu czy w Kielcach – tam to co innego.

Mimo to znaleźli w końcu dom na uboczu, w przemysłowej części Sandomierza. Ten dom. W przerobionej na sypialnię szklarni dogorywała wyniszczona przez gripę żołądkową drobna blondynka z Białorusi, poza tym nie było nikogo. Dziewczyna powtarzała bez przerwy, że pojechali na targ i że oni ją zabiją. Jej strach zrobił wielkie wrażenie na reszcie wycieczki, na Szackim żadnego. Za to słowo „targ” dało mu do myślenia. Sypialnia w szklarni była naprawdę spora, poza tym na posesji stał duży dom, warsztat, magazyn. Szacki wyobraził sobie Sandomierz na mapie Polski. Mieścina z dwiema prostytutkami amatorkami. Kościół koło kościoła. Cicho, sennie, nic się nie dzieje. Na Ukrainę blisko. Na Białoruś niedaleko. Dwieście kilometrów do stolicy, jeszcze mniej do Łodzi i Krakowa. W sumie niegłupie miejsce na punkt przerzutowy i hurtownię żywym towarem. Targ.

Okazało się, że był targ, i to nielichy. Wielki bazar zwany przez miejscowych targowicą, giełda absolutnie wszystkiego pomiędzy Starym Miastem i Wisłą, tuż przy obwodnicy. Odpytał policjanta, co się tam dzieje. Ten odpowiedział, że wszystko, ale Ruscy załatwiają interesy między sobą, jak się w to wtrącić, to

tylko statystykę się zabagni. Czasami zgarną jakiegoś dzieciaka z lewymi płytami albo z trawką, żeby nie było, że się nie interesują.

Z jednej strony wydawało się mało prawdopodobne, że istnieją mafiosi tak głupi, żeby handlować ludźmi na bazarze. Z drugiej – jest jakiś powód, dla którego nie zderzają hadronów i nie wprowadzają spółek na giełdę. No i bazar był właściwie eksterytorialny.

Wzięli ślaniającą się, chorą dziewczynę, pojechali i znaleźli. Dwie wielkie furgonetki pomiędzy stoiskami z konfekcją, teoretycznie z ciuchami, praktycznie z dwudziestoma skutymi dziewczynami, które przyjechały do lepszego świata. To był największy sukces sandomierskiej policji od czasu, kiedy odzyskali skradziony rower ojca Mateusza, lokalne gazety przez miesiąc nie pisały o niczym innym, a Szacki został na chwilę małym steczkowym celebrytą. Jesień była piękna.

I spodobało mu się tu.

I pomyślał: a może?

Pili w pizzerii Modena nieopodal prokuratury, miał już w czubie i spytał z głupia frant, czy nie mają wakatu. Mieli. Zdarma im się to raz na dwadzieścia lat, ale akurat mieli.

Miał zacząć nowe wspaniałe życie. Podrywać dziewczyny w klubach, biegać co rano nad Wisłą, rozkoszować się powietrzem, przeżywać przygody i uniesienia, a w końcu znaleźć najprawdziwszą miłość swojego życia i zestarzeć się przy niej w obrośniętym winem domku gdzieś koło Piszczeli. Tak żeby krótkim spacerem można było dojść na rynek, usiąść w Małej albo w Kordegardzie i napić się kawy. Kiedy się tutaj sprowadzał, obraz ten był tak żywy, że nawet trudno było go nazwać planem lub marzeniami. To była rzeczywistość, która wkroczyła do jego życia i zaczęła się dziać. Po prostu. Pamiętał dokładnie moment, kiedy wygrzewał się na zamkowych ławkach w jeziennym słońcu i zobaczył swoją przyszłość tak wyraźnie, że prawie łzy stanęły mu w oczach. W końcu! W końcu wiedział dokładnie, czego chce.

Cóż, delikatnie mówiąc, mylił się. Mówiąc niedelikatnie, utopił w szambie swoje przez lata budowane życie dla popieprzonej mrzonki i teraz został tak bardzo z niczym, że nawet dało to poczucie oczyszczenia. Absolutnie i dokładnie z niczym.

Zamiast gwiazdy stołecznej prokuratury, budzący nieufność obcy w prowincjonalnym mieście, które co prawda od osiemnastej było wymarłe – ale niestety nie dlatego, że mieszkańcy się pomordowali. Oni w ogóle się nie mordowali. Nie usiłowali mordować. Nie gwałcili. Nie organizowali się w przestępczych celach. Z rzadka napadali na siebie. Kiedy Szacki przeleciał w myślach katalog spraw, którymi się zajmuje, poczuł w gardle lekką zgagę. To nie mogła być prawda.

Zamiast rodziny – samotność. Zamiast miłości – samotność. Zamiast bliskości – samotność. Kryzys wywołany żalonym, a także krótkim i nikogo niesatysfakcjonującym romansem z dziennikarką Moniką Grzelką zepchnął jego małżeństwo do dołu, z którego nie miał szans się wygrzebać. Trochę się jeszcze wozili, że niby dla dobra dziecka, ale to już było tchórzliwe dogorywanie. Zawsze myślał, że to on zasługuje na więcej, a Weronika ciągnie go do dołu. Tymczasem nie minęło pół roku od ostatecznego rozstania, kiedy zaczęła się umawiać z jakimś wziętym adwokatem. Ostatnio lakonicznie go poinformowała, że postanowili zamieszkać wspólnie w jego domu w Wawrze i że chyba powinien spotkać się i porozmawiać z Tomaszem, który teraz będzie wychowywał jego córkę.

Właściwie przegrał wszystko, co było do przegrania. Nie miał nic i nikogo, na dodatek z własnej woli został wygnancem na nielubianej i nielubiącej go ziemi. Zadzwonienie do Klary, którą przed miesiącem poderwał w klubie i spławił po trzech dniach, gdyż w świetle dnia nie wydała mu się ani ładna, ani mądra, ani interesująca – było aktem desperacji i ostatecznym dowodem jego upadku.

Zgasił papierosa i powrócił do monochromatycznego świata. Tylko na chwilę – na jego polarze pojawiły się długie

czerwone paznokcie. Zamknął oczy, żeby ukryć irytację, ale nie potrafił zdobyć się na brutalność wobec dziewczyny, którą najpierw uwiódł, a teraz jeszcze dał jej fałszywą nadzieję, że coś może między nimi być.

Poszedł grzecznie do łóżka, żeby uprawiać nudny seks. Klara wiała się pod nim, jakby w ten sposób usiłowała nadrobić brak czułości i fantazji. Spojrzała na niego i widocznie dostrzegła w jego twarzy coś, co kazało jej się bardziej starać. Wierząc i zaczęła jęczeć.

– Och tak, rznij mnie, jestem twoja, chcę cię czuć głęboko.

Prokurator Teodor Szacki próbował się powstrzymać, ale nie dał rady i wybuchnął śmiechem.

3

Żadne zwłoki nie wyglądają dobrze, ale niektóre wyglądają gorzej. Leżąca w parowie pod średniowiecznymi murami Sandomierza denatka należała do drugiej kategorii. Jeden z policjantów litościwie okrywał nagość kobiety, kiedy na miejscu zbrodni pojawił się prokurator.

– Nie zakrywaj jeszcze.

Policjant podniósł głowę.

– Daj spokój, znałem ją od przedszkola, nie może tak leżeć.

– Też ją znałam, Piotrze. To naprawdę nie ma dziś znaczenia.

Prokurator Barbara Sobieraj delikatnie rozgarnęła bezlistne gałęzie i ukucnęła przy zwłokach. Ich obraz rozmyły łączyła. Widziała nieraz ciała zabitych, najczęściej wyciągnięte z wraków aut przy obwodnicy, czasami nawet martwych ludzi znanych z widzenia. Nigdy jednak kogoś, kogo znałaby osobiście. A już na pewno nie wieloletniej przyjaciółki. Wiedziała, na pewno lepiej od innych, że ludzie popełniają przestępstwa i że można paść ich ofiarą. Ale to – to nie mogła być prawda.

Odchrząknęła, żeby przeczyszczyć gardło.

- Grzesiek już wie?
- Myślałem, że ty mu powiesz. Wiesz przecież...

Barbara spojrzała na niego i już miała wybuchnąć, ale zrozumiała, że Marszałek, jak nazywano w Sandomierzu tego policjanta, ma rację. Od wielu lat była przyjaciółką szczęśliwego domu Elżbiety i Grzegorza Budników. Nawet kiedyś plotkowano, że gdyby Ela swego czasu nie wróciła z Krakowa, to kto wie, niektórzy już słyszeli zapowiedzi. Plotki i stare dzieje, ale faktycznie, jeśli ktoś miał poinformować Grzeska, to tylko ona. Niestety.

Westchnęła. To nie był wypadek, to nie było pobicie ani napad czy gwałt dokonany przez pijanych żuli. Ktoś musiał sobie zadać dużo trudu, żeby ją zabić, potem dokładnie rozebrać i ułożyć w tych krzakach. I jeszcze to... Barbara próbowała nie patrzeć, ale jej wzrok co chwila wracał do zmasakrowanej szyi ofiary. Wielokrotnie przecięte w poprzek gardło przypominało skrzela, wąskie listki skóry, pomiędzy którymi widać było fragmenty żył, krtani i przełyku. Twarz nad makabryczną raną była za to dziwnie spokojna, nawet lekko uśmiechnięta, w połączeniu z niezwykłą, gipsową bielą skóry sprawiało to wrażenie nierealności, posągowości. Barbara pomyślała, że może ktoś zamordował Elżbietę we śnie albo kiedy była nieprzytomna. Uchwyciła się tej myśli, naprawdę chciała w to wierzyć.

Marszałek podszedł do niej i położył jej rękę na ramieniu.

- Strasznie mi przykro, Basiu.

Skinęła głową, żeby zakryć zwołoki.

Takie dziury mają swoją dobrą stronę: wszędzie jest blisko. Zaraz po otrzymaniu telefonu od szefowej Szacki z westchnieniem ulgi zostawił Klarę i opuścił wynajmowaną kawalerkę w kamienicy na Długosza. Mała, brzydka i zapuszczona, miała jedną zaletę – położenie. Na Starym Mieście, z widokiem na Wisłę i zabytkową

szkołę średnią, którą założyli w XVII wieku jezuici. Wyszedł z budynku i szybkim krokiem dotarł do rynku, ślizgając się na wilgotnych kocich łbach. Powietrze było jeszcze po zimowemu rześkie, ale czuło się, że to już ostatnie takie chwile. Mgła przerezzadała się z każdym krokiem i Szacki miał nadzieję, że ten dzień będzie pierwszym z pięknych, wiosennych dni. Naprawdę potrzebował w swoim życiu pozytywnej emocji. Słonecznego ciepła na przykład.

Przeszedł przez kompletnie opustoszały rynek, minął gmach poczty, usadowionej w pięknej kamienicy z podcieniami i doszedł do Żydowskiej, widząc już z daleka poświatę błyskających szklanek. Poruszyło to w nim jakąś czułą strunę, ten widok policyjnych kogutów we mgle był częścią rytuału. Poranny telefon, wygrzebywanie się z ciepłych ramion Weroniki, ubieranie się po omacku w przedpokoju, przed wyjściem jeszcze całus w ciepłe czoło śpiącego dziecka. Potem jazda przez budzącą się do życia stolicę, gasnące latarnie, nocne autobusy zjeżdżające do zajezdni. Na miejscu sceptyczny uśmieшек Kuzniecowa, potem trup, kawa na placu Trzech Krzyży. I starcie ze zrządzającą szefową w prokuraturze. „Nasze gabinety są chyba w różnych wymiarach czasoprzestrzeni, panie prokuratorze”.

Mdliło go z tęsknoty, kiedy minął budynek synagogi i przytrzymując się gałęzi, zszedł po skarpie. Rudą czuprynę piczki-zasadniczki Sobieraj poznał od razu. Stała ze spuszczoną głową, jakby przyszła odmawiać modlitwę za zmarłych, zamiast prowadzić śledztwo. Otyły gliniarz trzymał rękę na jej ramieniu, łącząc się z nią w bólu. Tak jak Szacki przypuszczał – miasto, w którym było więcej kościołów niż barów, musiało odciskać na mieszkańcach bolesne piętno. Sobieraj odwróciła się do Szackiego, zbyt zaskoczona jego widokiem, aby ukryć wypełzający na twarz grymas niechęci.

Skinął wszystkim głową na powitanie, podszedł do zwłok i bezceremonialnie podniósł okrywającą je folię. Kobieta. Między czterdziestką a pięćdziesiątką. Paskudnie poderżnięte

gardło, innych obrażeń nie widać. Nie wyglądało to na napad, raczej na dziwaczną zbrodnię w afekcie. No, w końcu porządny trup. Już chciał ponownie przykryć ciało, ale coś nie dawało mu spokoju. Obejrzał je jeszcze dwa razy od stóp do głów, zeskanował wzrokiem miejsce zbrodni. Coś było nie tak, coś było zdecydowanie nie tak, a on nie miał pojęcia co, i to uczucie było bardzo niepokojące. Odrzucił foliowy worek, część policjantów zawstydzona odwróciła wzrok. Amatorzy.

Już wiedział, co jest nie tak. Biel. Nierealna, niespotykana w naturze biel ciała denatki. Ale coś jeszcze.

– Przepraszam, to jest moja znajoma – powiedziała za jego plecami Sobieraj.

– To była pani znajoma – odburknął Szacki. – Gdzie technicy?

Cisza. Odwrócił się i spojrzał na grubego policjanta, łysiego i z sumiastymi wąsami. Jaką on miał ksywkę? Marszałek? Jakże oryginalnie.

– Gdzie technicy? – powtórzył.

– Marysia zaraz będzie.

Wszyscy tu byli po imieniu. Sami przyjaciele, psia ich mać, małomiasteczkowa sekta.

– Wezwijcie też ekipę z Kielc, niech zabiorą wszystkie swoje zabawki. Zanim przyjadą, ciało okryć, otoczyć teren w promieniu pięćdziesięciu metrów, nikogo nie wpuszczać. Gapiów trzymać jak najdalej. Jest już oficer operacyjny?

Marszałek podniósł rękę, patrząc na Szackiego jak na kosmitę i pytając na Sobieraj, która stała oszołomiona.

– Świetnie. Ja wiem, że mgła, ciemno i gówno widać. Ale wszyscy z tych kamienic – wskazał ręką na domy przy Żydowskiej – i z tamtych domów – odwrócił się i pokazał wille po drugiej stronie parowu – mają zostać przesłuchani. Może ktoś cierpi na bezsenność, może ma chorobę prostaty, może jest szaloną kurą domową i gotuje zupę przed wyjściem do roboty. Ktoś mógł coś widzieć. Jasne?

Marszałek pokiwał głową. Tymczasem Sobieraj odzyskała rezon, podeszła i stanęła tak blisko, że czuł jej oddech. Była wysoka jak na kobietę, ich oczy znajdowały się prawie na tym samym poziomie. Na wsi zawsze dorodne dziewczyny, pomyślał Szacki, czekając spokojnie, co się wydarzy.

– Przepraszam, to pan teraz prowadzi tę sprawę?

– No.

– A mogłabym wiedzieć dlaczego?

– Niech zgadnę. Bo wyjątkowo nie chodzi o pijanego rowe-rzystę ani kradzież komórki w podstawówce?

Ciemne oczy Sobieraj zrobiły się czarne.

– Idę prosto do Misi – wyszczała.

Szacki sięgnął do nigdy nieużywanych najgłębszych po-kładów siły woli, żeby się opanować i nie parsknąć śmiechem. Boże przenajświętszy, oni naprawdę nazywali swoją szefową Misią.

– Im szybciej, tym lepiej. To ona wykopała mnie z wyra, gdzie w wariacko interesujący sposób spędzałem czas, i kazała się tym zająć.

Sobieraj przez chwilę sprawiała wrażenie, jakby miała wy-buchnąć, ale odwróciła się na pięcie i odeszła, kołyszając biodrami. Wąskimi i mało atrakcyjnymi biodrami, ocenił Szacki, odprowa-dzając ją wzrokiem. Odwrócił się do Marszałka.

– Ktoś z dochodzeniówki będzie? Czy zaczynają pracę o dziesiątej?

– Jestem, synku, jestem – dobiegło go zza pleców.

Za nim na rozkładanym wędkarskim krzeselku siedział jakiś dziadek z wąsami – oni tutaj prawie wszyscy mieli wąsy – i palił szluga bez filtra. Nie pierwszego. Po jednej stronie krze-selka leżało kilka oderwanych filtrów, po drugiej kilka kiepów. Szacki opanował zdziwioną minę i podszedł do niego. Miał całkiem siwe, krótko obcięte włosy, pobrużdżoną twarz, niczym z autoportretu Leonarda, i jasne, wodniste oczy. Dobrze utrzy-mane skromne wąsy były natomiast kruczoczarne, co nadawało

dziadkowi demoniczny, niepokojący wygląd. Musiał mieć z siedemdziesiątkę. Jeśli miał mniej, to widać w jego życiu wiele było zaskakujących zwrotów akcji. Dziadek patrzył ze znudzoną miną, Szacki stanął przy nim i wyciągnął rękę.

– Teodor Szacki.

Stary policjant pociągnął nosem, odrzucił peta na właściwą stronę krzeselka i nie wstając, podał mu dłoń.

– Leon.

Przytrzymał rękę Szackiego i skorzystał z jego pomocy, żeby się podnieść. Był wysoki, bardzo szczupły, pod grubą kurtką i szalikiem wyglądał zapewne jak laseczka wanilii, chuda, wiotka i pomarszczona. Szacki puścił dłoń dziadka i czekał na dalszą część prezentacji. Która nie nastąpiła. Staruszek zerknął w stronę Marszałka, na co tamten podbiegł w podskokach, jakby był na gumce.

– Panie inspektorze?

To chyba pomyłka. Za wysoka szarża na psa z prowincjonalnej dochodzeniówki.

– Zróbcie, co prokurator powiedział. Kielce będą za dwadzieścia minut.

– Spokojnie, to prawie sto kilometrów – zaoponował Szacki.

– Wezwałem ich godzinę temu – mruknął dziadek. – A potem czekałem, aż się państwo prokuratorstwo zwlecze. Dobrze, że krzeselko wzięłem. Kawa?

– Słucham?

– Kawę czy pan prokurator pija? Cizemkę otwierają o siódmej.

– Bylebyśmy tam nic nie jedli.

Dziadek pokiwał głową z uznaniem.

– Młode to, przyjezdne, a uczy się szybko. Idziemy. Chcę tu być, jak dzieciaki z zabawkami się pojawiają.

Sala restauracyjna w Ciżemce, jak nazywano znajdujący się w najlepszym turystycznie miejscu miasta – w rynku, przy drodze do katedry i zamku – hotel Pod Ciżemką, była wszystkim tym, czym restauracje w cywilizowanych miejscach przestały być dekadę temu. Wielka nieprzyjazna przestrzeń, stoły nakryte obrusem i serwetą, obite pluszem krzesła z wysokimi oparciami. Na ścianach kinkiety, pod powałą kandelabry. Stukająca obcasami kelnerka musiała przemierzyć tak wielki dystans, że Szacki był pewien: kawa wystygła po drodze.

Nie wystygła, wyczuwalna w niej za to była odległa nuta brudnej ścierki – znak, że ekspres nie był w tym reprezentacyjnym sandomierskim przybytku pierwszy na liście rzeczy do codziennego czyszczenia. Czy to mnie dziwi?, pomyślał Teodor Szacki. Wcale.

Inspektor Leon pił bez słowa, gapiąc się przez okno na atykę ratusza, Szackiego mogłoby tu w ogóle nie być. Postanowił dostosować się do tempa dziadka i poczekać cierpliwie, aż się dowie, po co został tu wyciągnięty. Policjant w końcu odstawił filiżankę, kaszlnął i oderwał filtr od papierosa. Westchnął.

– Pomogę panu. – Miał nieprzyjemny, jakby źle naoliwiony głos.

Szacki spojrzał pytająco.

– Mieszkał pan kiedyś poza Warszawą?

– Dopiero teraz.

– Czyli głównie pan wie o życiu.

Szacki nie skomentował.

– Ale to nie grzech. Każdy małolat głównie wie o życiu. Ale ja panu pomogę.

W Szackim narastała irytacja.

– Czy ta pomoc obejmuje tylko wykonywanie pańskich obowiązków, czy coś ekstra? Nie znamy się, trudno mi ocenić, jak dobre ma pan serce.

Leon dopiero teraz popatrzył dłużej na prokuratora.

– Mało dobre – odparł bez uśmiechu. – Ale bardzo jestem ciekaw, kto zaszlachtował i wrzucił w krzaki żonę tego pajaca Budnika. Intuicja mi mówi, że pan się tego dowie. Ale pan nie jest stąd. Z panem każdy będzie rozmawiał, ale nikt panu nic nie powie. Może to i dobrze, mniej informacji to czystszy umysł.

– Więcej informacji to prawda – wtrącił Szacki.

– Prawda to prawda, od pływania w szambie zbytecznej wiedzy nie robi się bardziej prawdziwa – zaskrzypiał inspektor. – I niech pan mi nie przerywa, młody człowieku. Czasami będzie pan usiłował zrozumieć, kto naprawdę z kim i dlaczego. Wtedy ja panu pomogę.

– Przyjaźni się pan z nimi wszystkimi?

– Ja się słabo zaprzyjaźniam. I niech mi pan nie zadaje pytań, które nie mają znaczenia, bo stracę o panu dobre zdanie.

Szacki miał kilka pytań znaczących, ale zostawił je na później.

– I wolałbym, żebyśmy pozostali przy formach grzecznościowych – zakończył policjant, a Szacki nie dał po sobie poznać, jak bardzo mu się podoba ta propozycja. Kiwnął potakująco głową.

6

Gapiów było coraz więcej, na szczęście stali grzeczniej. Szacki wyławiał z prowadzonych półgłosem rozmów nazwisko Budnik albo Budnikowa. Przez chwilę się zastanawiał, czy wiedza o tym, kim była denatka, jest mu teraz potrzebna. Uznał, że nie. Teraz potrzebne są dokładne oględziny miejsca i ciała. Reszta może poczekać.

Razem z inspektorem, który tymczasem wzbogacił się o nazwisko Wilczur, stali przy ciele otoczonym parawanem, kielecki technik fotografował zwłoki. Szacki wpatrywał się w precyzyjnie porozcinane gardło, które wyglądało jak przygotowane do

sporządzenia anatomicznego preparatu, i szlag go trafiał, że ciągle nie potrafi nazwać nieznosnego brzęczenia w głowie. Coś było nie tak. Oczywiście, dowie się co, ale wolałby to zrozumieć, zanim przyjdzie do przesłuchań i szukania biegłych. Podszedł do nich szef zespołu oględzinowego, sympatyczny trzydziestolatek o wylupiastych oczach i wyglądzie judoki. Po dokonaniu prezentacji zawiesił rybi wzrok na Szackim.

– Skąd się pan desantował, panie prokuratorze, tak z ciekawości? – zapytał.

– Ze stolicy.

– Z samej warszawki? – Nie starał się ukryć zdziwienia, jakby następnym pytaniem miało być to, czy Szackiego wypieprzyli za pijaństwo, narkotyki, czy molestowanie.

– Jak mówię: ze stolicy. – Szacki nie cierpiał słowa „warszawka”.

– Ale przeszkrobał pan coś czy tak jakoś?

– Tak jakoś.

– Aha. – Policjant przez chwilę oczekiwał dalszego ciągu serdecznej rozmowy, ale dał spokój. – Poza ciałem nic nie ma, nie znaleźliśmy żadnych ciuchów, torebek, biżuterii. Śladów wleczenia nie ma, śladów walki też nie. Wygląda na to, że została tu przyniesiona. Zrobiliśmy odlewy śladów opon z dołu i odcisków buta, które były świeże. Wszystko będzie w protokole, ale nie liczyłbym na zbyt wiele, chyba że z oględzin zwłok.

Szacki pokiwał głową. Nie żeby był jakoś szczególnie przejęty. Wszystkie swoje sprawy rozwiązał, opierając się na dowodach osobowych, nie rzeczowych. Oczywiście, przyjemnie byłoby znaleźć w krzakach narzędzie zbrodni i dowód osobisty mordercy, ale już dawno zrozumiał, że przyjemnie to nie jest w życiu Teodora Szackiego żadna codzienność.

– Panie komisarzu! – wydarł się jeden z buszujących po krzakach na skarpie techników.

Wylupiastooki dał znać, żeby zaczekali, podbiegł w kierunku resztek średniowiecznego muru, który kiedyś szczelnie

opasywał miasto, a dziś służył głównie do obalania w jego cieniu tradycyjnego polskiego wina. Szacki podążył śladem technika, który kucnął pod murem, rozgarniając bezlistne jeszcze gałązki i zeszloroczną trawę. Wyłupiastooki sięgnął dłonią w rękawicze i podniósł coś ostrożnie do góry. Słońce akurat przedarło się przez chmury i błysnęło ostro w tym przedmiocie, oślepiając Szackiego na chwilę. Dopiero kiedy mrugnął kilka razy, aby rozwiać latające przed oczami ciemne płatki, mógł dostrzec, że technik trzyma dziwaczny nóż. Ostrożnie schował go do hermetycznego worka na dowody i wyciągnął w ich stronę. Narzędzie musiało być jednak diablo ostre, bo od samego ciężaru ostrze przekłuło worek i spadło na ziemię. To znaczy, spadłoby, gdyby przykucnięty technik nie złapał go w ostatniej chwili za rękojęść. Złapał i spojrzał na nich.

– Mogłeś zostać bez palców – powiedział spokojnie Wyłupiastooki.

– Mogłeś zafajdać swoją krwią narzędzie zbrodni, krety-
nie – powiedział spokojnie Wilczur.

Szacki spojrzał na starego policjanta.

– Skąd pan wie, że to narzędzie zbrodni?

– Domniemywam. Skoro znajdujemy pod jednym krzakiem rozplątane precyzyjnie gardło, a pod drugim ostrą jak samurajski miecz brzytwę, to może istnieć między nimi jakiś związek.

„Brzytwa” to było dobre słowo na określenie noża, który Wyłupiastooki wkładał do kolejnej torebki, tym razem ostrożniej. Miał prostokątną, lśniąca niczym lustro klingę, bez ostrego czubka, bez żadnych krzywizn na linii ostrza. Rękojęść z ciemnego drewna była w stosunku do klingi bardzo delikatna, wręcz nie na miejscu. Samo ostrze natomiast było potężne. Dłgie na około trzydzieści centymetrów, szerokie na dziesięć. Brzytwa, brzytwa do golenia dla olbrzyma, który ma gębę wielkości furgonetki. Zarówno klinga, jak i rękojęść, przynajmniej na pierwszy rzut oka, były pozbawione zdobień. To nie była kolekcjonerska zabawka, ale narzędzie. Narzędzie

być może zbrodni, ale przede wszystkim narzędzie z jakimś zastosowaniem. Innym niż golenie nóg pięćdziesięciopowej kobiety.

– Daktyloskopia, mikroślady, krew, wydzieliny, materiał DNA, chemia – wyliczył Szacki. – Tak szybko, jak się da. A dziś chcę mieć szczegółowe zdjęcia tego cacka.

Wręczył Wyłupiastookiemu swoją wizytówkę. Tamten schował ją do kieszeni, patrząc podejrzliwie na dużą brzytwę.

Wilczur znów oderwał filtr od papierosa.

– Nie podoba mi się to – skomentował. – Za bardzo wydumane.

7

Prokurator Teodor Szacki nie miał szczęścia do szefowych. Poprzednia była technokratyczną suką, zimną i urodziwą jak wygrzebane spod śniegu zwłoki. Niejednokrotnie, siedząc u niej w gabinecie, nasiąkając dymem i cierpiąc, że starała się na nim zrobić kobiecie wrażenie osoba kompletnie z kobiecości wyprana, zastanawiał się, czy można trafić gorzej. Złośliwy los niedługo później odpowiedział na to pytanie.

– Naprawdę proszę spróbować. – Maria Miszczyk, ku przeżeniu Szackiego zwana przez wszystkich, z nią samą włącznie, Misią, podetknęła mu pod nos paterę z ciastem. Składało się z warstwy czegoś w rodzaju bajaderki, biszkoptu i chyba bezy.

Przełożona uśmiechnęła się do niego promiennie.

– Pod bezę dałam cieniutką warstwę powideł śliwkowych. Mam jeszcze trochę z jesieni. No, proszę.

Szacki nie chciał, ale serdeczny uśmiech Miszczyk był jak wzrok kobry. Pozbawiona kontroli umysłu ręka sięgnęła po ciasto, zgodnie z wolą kobiety wzięła kawałek i wepchnęła go Szackiemu do gęby. Uśmiechnął się krzywo, obsypując kruszynkami garnitur.

– No dobrze, Basiu, powiedz nam, o co chodzi – powiedziała Miszczyk, odstawiając patelnię.

Sobieraj siedziała sztywno na skórzanej sofie w stylu „Konstancin lata osiemdziesiąte”, od Szackiego, umoszczonego w fotelu od kompletu, oddzielał ją szklany stolik. Jeśli Miszczyk chciała stworzyć w swoim gabinecie domową atmosferę, biorąc za wzorzec przeciętne wyposażenie sześcianu polskiego, to osiągnęła sukces.

– Chciałabym zrozumieć – Sobieraj nie potrafiła albo nie próbowała ukryć pretensji w głosie – dlaczego prowadząc od siedmiu lat własne śledztwa w naszej prokuraturze, zostają odsunięta od zabójstwa Eli. I chciałabym wiedzieć, dlaczego ma je prowadzić pan Teodor, którego osiągnąć nie neguję, ale który nie zna jeszcze za dobrze miasta i jego specyfiki. I chciałabym powiedzieć, że było mi przykro dowiedzieć się o tym w ten sposób. Mogłaś mnie chociaż uprzedzić, Misiu.

Twarz Miszczyk zrobiła się autentycznie po matczynemu zatroskana. Biło z niej takie ciepło i zrozumienie, że Szacki poczuł zapach przedszkolnej stołówki. Był bezpieczny, pani przedszkolanka na pewno rozwiąże ten problem tak, żeby nikomu nie było smutno. A potem ich przytuli.

– No wiem, Basiu, przepraszam. Ale kiedy dowiedziałam się o Eli, musiałam działać szybko. Normalnie taka sprawa czekałaby na ciebie. Ale nie jest normalnie. Ela to twoja bliska przyjaciółka, Grzegorz był z tobą związany. Przyjaźniłaś się z nimi, spotykałaś. Jakiś adwokat mógłby to wykorzystać przeciwko nam.

Sobieraj zagryzła wargę.

– Poza tym emocje nie pomagają w śledztwie – dobił ją Szacki, wziął drugi kawałek ciasta i odpowiedział uśmiechem na mordercze spojrzenie.

– Gównu pan wie o moich emocjach.

– Błogosławiona to niewiedza.

Miszczyk klasnęła w dłonie i spojrzała na nich, jakby chciała powiedzieć „oj, dzieci, dzieci, naprawdę dałybyście już spokój”.

Szacki zmusił się, żeby nie spuścić wzroku i wytrzymać wyrzut w jej łagodnych, rozmaślonych matczynych oczach.

– Potem sobie podogryzacie, kochani. Teraz wam powiem, jak wygląda wasza sytuacja zawodowa.

Sobieraj drgnęła i szybko zaczęła mówić. Ileż to Szacki widział takich neurotycznych lasek w życiu? Legion.

– Mam nadzieję, że...

– Basiu – wpadła jej w słowo Miszczyk. – Chętnie wysłucham waszych opinii i propozycji. Zawsze słucham chętnie, wiesz o tym, prawda? Ale teraz powiem, jak wygląda wasza sytuacja zawodowa.

Sobieraj zamknęła się błyskawicznie, a Szacki spojrzał uważnie na Miszczyk. Ciągłe była mamuszką o łagodnych oczach, uśmiechu dziecięcej terapeutki i głosie, w którym pobrzmiwał zapach waniliowy i proszek do pieczenia. Ale gdyby odrzec ostatni komunikat z formy – zostawało stanowcze usadzenie podwładnej i przyjaciółki.

Miszczyk dołała wszystkim herbaty.

– Znałam Elę Budnik, znam też Grześka, zresztą jak wszyscy tutaj. Nie musimy go lubić albo się z nim zgadzać, ale trudno go przeoczyć. To będzie, już jest, wielkie i głośnie śledztwo. Sytuacja, kiedy prowadzi je przyjaciółka denatki...

– I głównego podejrzanego – wtrącił Szacki. Sobieraj parsknęła.

– Proszę uważać na słowa. Nie zna pan tego człowieka.

– Nie muszę. Jest mężem denatki. Na tym etapie to czyni go głównym podejrzanym.

– I właśnie o tym mówię. – Sobieraj triumfalnie uniosła ręce do góry. – Dlatego powinien się trzymać od tej sprawy z daleka.

Miszczyk odczekała chwilę, aż znowu zapanuje cisza.

– Właśnie dlatego prokurator Szacki nie dość, że nie będzie trzymał się od tej sprawy z daleka, to jeszcze będzie prowadził to śledztwo. Ponieważ chcę uniknąć sytuacji, kiedy zwłoki, podejrzeni i śledczy to grupa przyjaciół, którzy jeszcze wczoraj

umawiali się na grilla. Ale masz rację, Basiu, że pan Teodor jest tutaj nowy. Dlatego będziesz służyła mu radą, pomocą i wiedzą o wszystkim, co dotyczy miasta i jego mieszkańców.

Szacki odetchnął z ulgą, gdy wielki kawał ciasta jednak przecisnął się przez przełyk. Szykuje się szampańska zabawa, pomyślał. Sobieraj tkwiła nieruchomo na kanapie, zamieniając się w gigantyczny foch. Miszczyk zerknęła matczynym okiem na filizanki i paterę. Przekręciła ją o sto osiemdziesiąt stopni.

– Z tej strony jest więcej powideł – szepnęła teatralnie i wzięła kawałek.

Szacki odczekał chwilę, uznał, że audyencja jest skończona, i wstał. Miszczyk dała mu znak ręką, że jak tylko przełknie, to jeszcze coś powie.

– Spotykamy się tutaj o dziewiętnastej. Chcę zobaczyć pierwsze protokoły i dokładny plan śledztwa. Wszystkie media wysyłacie do mnie. Jeśli uznam, że prywatne animozje przeszkadzają wam w tej sprawie...

Sobieraj i Szacki zgodnie zawiesili wzrok na wydatnych, pokrytych okruszkami wargach szefowej. Uśmiechnęła się do nich ciepło.

– ...urządzą wam piekło, którego nigdy nie zapomnicie. A z dostępnych prac w instytucjach państwowych zostanie wam mycie podłóg w pierdlu. Czy to jasne?

Szacki pokiwał głową, uklonił się paniom i położył rękę na klawce.

– Rozumiem, że mam przekazać komuś swoje pozostałe sprawy.

Miszczyk uśmiechnęła się miękko. Zrozumiał, że w ogóle niepotrzebnie pyta. Wręcz obraża ją myślą, że mogła o tym nie pomyśleć. Już na pewno wszystko jest załatwione, a sekretarka wynosi akta z jego gabinetu.

– Oszałał pan chyba. Do roboty.

Prokurator Teodor Szacki stał w swoim gabinecie, patrzył przez okno i myślał, że prowincja ma swoje dobre strony. Miał tylko dla siebie wielki gabinet, z którego w Warszawie wykrojono by trzy dwuosobowe pokoje. Miał ładny widok na zieleni, willową zabudowę i wieże Starego Miasta w oddali. Miał dwadzieścia minut spacerem z domu do roboty. Miał szafę pancerną, a w niej akta swoich ośmiu bieżących spraw, dokładnie dziewięćdziesiąt siedem mniej niż w Warszawie pół roku wcześniej. Miał tę samą pensję, co w stolicy, a wyborna kawa w ulubionej kafejce na Sokolnickiego kosztowała go ledwie pięć złotych. No i w końcu – wstydził się tego, ale nie potrafił ukryć zadowolenia – miał porządnego trupa. Nagle ta koszmarna senna dziura wydała mu się całkiem znośnym miejscem.

Trzasnęły drzwi. Szacki się odwrócił, dodając myśl, że ma też partnerkę, która z PMS-a uczyniła sposób na życie. Automatycznie przywdział swoją chłodną, zawodową maskę prokuratora, obserwując, jak piczka-zasadniczka Sobieraj podchodzi do niego z teczką w dłoni.

– Właśnie przyszło. Powinniśmy to obejrzeć.

Wskazał dłonią miejsce na kanapie (tak jest, miał w gabinecie kanapę) i usiedli obok siebie. Zerknął na jej dekolt, nie dostrzegł tam niczego ciekawego, bo zasłonięty był kompletnie asekualnym czarnym golfem. Otworzył teczkę. Pierwsze zdjęcie przedstawiało zbliżenie rozplatanego gardła denatki. Sobieraj głośno zaczerpnęła powietrza i odwróciła wzrok, a Szacki już miał to skomentować, ale zrobiło mu się przykro i zachował złośliwość dla siebie. Ani ich wina, ani wada, że wszyscy tutaj razem wzięci przez całe życie widzieli tyle trupów, co on w ciągu roku.

Odłożył na bok zdjęcia zwłok.

– I tak musimy zaczekać na oględziny. Pójdzie pani na Oczki?

Spojrzała bez zrozumienia.

– Przepraszam. Do szpitala. Na sekcję.

W jej oczach błysnął lęk, ale szybko się opanowała.

– Myślę, że powinniśmy być tam razem.

Szacki przytaknął i rozłożył na stole kilkanaście zdjęć do-
kładnie obfotografowanej brzytwy. Wedle rozłożonej pod nią
miarki brzytwa miała ponad czterdzieści centymetrów, z tego
samo prostokątne ostrze około trzydziestu. Rękojeść pokrywało
ciemne drewno, na mosiężnej oprawie było coś wygrawerowane.
Szacki poszukał zbliżenia. Wytarty napis głosił: C. RENEWALD.
Na jednym ze zbliżeń dostrzegł odbijającą się w wypolerowanej,
gładkiej jak lustro kłindze dłoni fotografa. Pani fotograf, mężatki,
sądząc po obrączce. Błękitne ostrze było pozbawione plam, za-
drapań i szczerb. Niewątpliwie arcydzieło sztuki metalurgicznej.
Zabytkowe arcydzieło.

– Sądzi pan, że to narzędzie zbrodni?

Szacki sądził, że te grzecznościowe formy już są męczące,
a w trakcie śledztwa staną się nie do zniesienia.

– Sądzę, że to wszystko dziwne i teatralne. Nagie zwłoki
z rozplatanym gardłem, porzucona obok zabytkowa brzytwomaczeta,
żadnych śladów walki czy szamotaniny.

– Ani krwi na ostrzu.

– Dajmy im się wykazać w laboratorium. Myślę, że będzie
krew, jakieś mikroślady, DNA. Więcej nam powie nóż, niż
chciałby ten, kto go podrzucił.

– Podrzucił?

– Taki czysty, wymuskany, nietknięty? Ktoś to zrobił spec-
jalnie. Nawet przy brudnych zabójstwach w afekcie każdy pijany
żuł pamięta, żeby zabrać ze sobą narzędzie zbrodni. Nie wierzę,
żeby został w tych krzakach przez przypadek.

Sobieraj wyjęła z torebki okulary do czytania i zaczęła
uważnie przeglądać zdjęcia. Do twarzy jej było w grubych brą-
zowych oprawkach. Szacki pomyślał: jeśli brzytwomaczeta jest
wiadomością, to trzeba znaleźć kogoś, kto potrafi ją odczytać.

Cholera jasna, jaki biegły może się tym zajmować? Od broni białej? Od militariów? Od metalurgii? Od dzieł sztuki?

Sobieraj podała mu zdjęcie ze zbliżeniem obłożonej drewnem rękoności i zdjęła okulary.

– Trzeba poszukać biegłego od broni białej, najlepiej jakiegoś muzealnika. Może zna tę firmę.

– C. Runewald? – zapytał Szacki.

Sobieraj parsknęła śmiechem.

– Grünewald. Może najwyższa pora na okulary, panie prokuratorze.

Szacki postawił na spokój. Żadnych uśmieszków, żadnych nerwów, żadnych ripost.

– Najwyższa pora, żeby mi pani opowiedziała o denatce i jej rodzinie.

Sobieraj zmarkotniała.

Prokurator Teodor Szacki był niezadowolony. Opowieść Sobieraj o Budnikach przyniosła dużo informacji, ale też wiele uczuć. Denatka przestała być dla niego efektem czynu zabronionego, za który ktoś musi zostać pociągnięty do odpowiedzialności i ponieść karę. Mąż denatki przestał być podejrzanym numer jeden. Dzięki barwnej, emocjonalnej opowieści Sobieraj za bardzo stali się osobami z krwi i kości, granica między informacją a interpretacją została przekroczona. Wbrew sobie Szacki, myśląc o denatce, widział uśmiechniętą nauczycielkę, prowadzącą zielone lekcje w czasie wycieczek rowerowych. Jej mąż był nie tylko kandydatem do odsiadki, ale też społecznikiem, który potrafił do upadłego walczyć w każdej najdrobniejszej sprawie, jeśli tylko oznaczało to dobro miasta. Szacki wątpił, aby gdzieś indziej w Polsce istniał bezpartyjny radny, który potrafił skłonić całą radę do jednogłośnego głosowania –

dla Sandomierza. Basta, basta, basta, nie chciał myśleć o Budnikach, dopóki nie porozmawia ze starym policjantem, który już dał do zrozumienia, że nie jest najlepszego zdania o tych świeckich świętych.

Próbował zająć myśli, szukając informacji o tajemniczej brzytwomaczynie, i to był jego drugi powód do niezadowolenia. Teodor Szacki w ogóle nie miał zaufania do ludzi. Ale do ludzi z hobby – w szczególności. Pasję i poświęcenie się pasji, zwłaszcza zbieraczej, uważał za zaburzenie, a ludzi skłonnych tak zafiksować się na jednym temacie – za potencjalnie niebezpiecznych. Widział samobójstwa spowodowane utratą numizmatycznej kolekcji, widział też dwie żony, których przewiną było podarcie najcenniejszego znaczka i spalenie pierwszego wydania *Panien z Wilka* i *Brzeziny*. Obie nie żyły. Mężowie-mordercy czuwali przy ich zwłokach, płakali i powtarzali, że nie rozumieją.

Tymczasem świat noży okazał się światem miłośników i kolekcjonerów, istniał nawet periodyk „Sztych”, którego misją jest – jak zapewniali autorzy – „dostarczenie Ci, drogi Czytelniku, rzetelnych informacji na temat wysokiej jakości noży oraz tematów im pokrewnych. Nie zabraknie także ciekawostek, przykładem będzie w następnym numerze «Bat», wydawałoby się, egzotyczny, a przecież pleciony od dawna w Polsce. Oczywiście będzie seria artykułów o długiej białej broni”.

Baty, szable i rzeźnicze noże – naprawdę urocze hobby, zżywał się Szacki, zagłębiając się w forach pełnych dyskusji o klingach, rękojeściach, sposobach ostrzenia, wykuwania, kucia i kłucia. Czytał wynurzenia jednego pisarza, który własnoręcznie wyrabiał miecze samurajskie, czytał o „Ojcu Nowoczesnego Damastu”, który opanował technologię wytwarzania stali damasceńskiej, oglądał zdjęcia wojskowych kordzików, myśliwskich noży do sprawiania zwierzyny, mieczy, bagnietów, rapierów i pałaszy. Nie przypuszczał, że ludzkość wyprodukowała tyle rodzajów ostrych przedmiotów.

Ale brzytwomaczety nie znalazł.

W końcu w akcie desperacji zrobił komórką kilka zdjęć prawdopodobnego narzędzia zbrodni i wysłał do redakcji „Szttychu” mail z pytaniem, czy coś im to mówi.

Wiosna przysłała i poszła, wieczorem Teodor Szacki dokuczliwie odczuwał chłód, idąc ulicą Mickiewicza w kierunku pizzerii Modena, gdzie umówił się z Wilczurem. Stary policjant nie dał się namówić na spotkanie w rynku, twierdząc, że „nie cierpi tego pierdolonego muzeum”, a Szacki mieszkał już w Sandomierzu na tyle długo, żeby zrozumieć, o co chodzi.

Sandomierz składał się właściwie z dwóch, a nawet trzech miast. Trzecie to tak zwana huta po drugiej stronie rzeki, memento czasów, kiedy czerwoni usiłowali zmienić mieszczański, kościelny gród w przemysłowe miasto i postavili tam ogromną hutę szkła. Ponura i brzydka była to dzielnica, strasząca nieczynną stacją kolejową, paskudnym kościołem i ogromnym fabrycznym kominem, który o każdej porze dnia i nocy mordował panoramę Podkarpacia widoczną z wysokiego lewego brzegu Wisły.

Miasto numer dwa to był Sandomierz, w którym faktycznie toczyło się życie. Tutaj było niewielkie osiedle na szczęście niezbyt inwazyjnych bloków, tutaj były dzielnice domków jednorodzinnych, szkoły, parki, cmentarz, jednostka wojskowa, policja, dworzec autobusowy, mniejsze i większe sklepy, biblioteka. Ot, polskie powiatowe miasteczko, może trochę bardziej zadbane i ładniej, bo na wzgórzach, położone od innych. Nie wyróżniałoby się jednak na tle niepoliczonych polskich dziur, gdyby nie miasto numer jeden.

Miasto numer jeden to był pocztówkowy Sandomierz ojca Mateusza i Jarosława Iwaszkiewicza, usadowiony na skarpie cukierniczej, którego panorama zachwycała niezmiennie każdego

i w której zakochał się swego czasu Szacki. Ciągłe potrafił przejść się na most tylko po to, żeby zobaczyć piętrzące się na zboczu kamieniczki, dostojny gmach Collegium Gostomianum, wieże ratusza i katedry, renesansowy szczyt Bramy Opatowskiej, bryłę zamku. W zależności od pory roku i pory dnia widok ten za każdym razem wyglądał inaczej i za każdym razem tak samo chwycił za serce.

Niestety, co Szacki wiedział dziś aż za dobrze, był to widok, który tylko z oddali sprawiał wrażenie bardzo włoskie, tokańskie. Wewnątrz Starego Miasta wszystko było już bardzo polskie. Za daleko był Sandomierz od Krakowa i przede wszystkim za daleko od Warszawy, aby stać się kurortem w rodzaju Kazimierza Dolnego. Na co zasługiwał stokroć bardziej, będąc pięknym miastem, a nie wiochą z trzema renesansowymi kamienicami i paroma tuzinami hoteli, żeby każdy polski prezes miał gdzie rznąć kochankę. Położenie na uboczu szlaków sprawiało, że na ślicznych staromiejskich uliczkach Sandomierza tchnęło nudą, pustką, polską beznadzieją i „pierdolonym muzeum”. Po południu znikały szkolne wycieczki, starzy lokatorzy kamieniczek zamykali się w domach, niedługo potem zamykano nieliczne sklepy, chwilę później knajpy. Już o osiemnastej zdarzało się Szackiemu przejść od zamku do Bramy Opatowskiej, nie napotyając żywego ducha. Jedno z najpiękniejszych miejsc w Polsce było opustoszałe, wymarłe i przygnębiające.

Szacki naprawdę poczuł się lepiej, kiedy zszedł Sokolnickiego w dół i zaczął maszerować wzdłuż Mickiewicza do Modeny. Pojawiły się samochody, ludzie, pełne jeszcze o tej porze sklepy, dzieciaki uwieszone komórek, ktoś jadł pączka, ktoś biegł do autobusu, ktoś krzyczał do kobiety po drugiej stronie, że zaraz, zaraz, jeszcze chwila. Szacki głęboko odetchnął, bał się samemu sobie do tego przyznać, ale bardzo brakowało mu miasta. Tak bardzo, że nawet ta jego skromna namiastka, jaką był Sandomierz, sprawiała, że krew szybciej krążyła w żyłach.

Modena była śmierzdzącą piwem powiatową mordownią, ale – to im trzeba przyznać – dawali tu najlepszą pizzę w Sandomierzu, a dzięki pysznej romantice, uzbrojonej w podwójną mozzarellę, cholesterol Szackiego już nieraz podskoczył. Inspektor Leon Wilczur psim zwyczajem siedział w najczarniejszym kącie, plecami do ściany. Bez kurtki wydawał się jeszcze chudszy i Szackiemu przypomniały się salony krzywych zwierciadeł w wakacyjnych wesołych miasteczkach. To niemożliwe, żeby człowiek był aż tak wąski, jak spreparowana głowa nasadzona dla żartu na stare ciuchy.

Usiadł bez słowa naprzeciwko starego policjanta, przeleciał w głowie zestaw pytań.

– Wie pan, kto to zrobił?

Wilczur spojrzeniem zaakceptował pytanie.

– Nie. Nie mam też pojęcia, kto mógłby to zrobić. Nie znam nikogo, kto by chciał. Nie znam nikogo, kto na tej śmierci zyskuje. Powiedziałbym, że to nikt stąd, gdyby nie to, że to musi być ktoś stąd. Nie wierzę w nieznajomych przybłędów, którzy zadają sobie tyle trudu.

To właściwie dawało odpowiedź na kluczowe pytania Szackiego, nawet jeśli zamierzał na każde z nich odpowiedzieć osobiście. Pora przejść do pomocniczych.

– Piwo czy wódka?

– Woda.

Szacki zamówił wodę, a także colę i romantycę. Po czym zaczął słuchać skrzypiącego głosu Wilczura, tworząc w głowie protokół rozbieżności pomiędzy opowieścią starego policjanta a cikliwym przekazem Sobieraj. Suche informacje były takie same. Grzegorz Budnik był „od zawsze”, czyli od 1990 roku, sandomierskim radnym z niespełnionymi burmistrzowskimi aspiracjami, jego świętej pamięci żona, Elżbieta, młodszą o piętnaście lat nauczycielką angielskiego w słynnej „jedynce”, czyli ogólniaku zajmującym gmach starego jezuickiego kolegium, prowadziła artystyczną świetlicę dla dzieci i udzielała się

we wszystkich możliwych lokalnych imprezach kulturalnych. Mieszkali w domku przy Katedralnej, niegdyś podobno zamieszkiwanym przez Iwaszkiewicza. Niezbyt majątni, bezdzietni, starzejący się społecznicy. Bez barw politycznych. Jeśliby na siłę szukać etykietek, to on byłby czerwony przez swoją przeszłość w Radzie Narodowej, ona czarna przez zaangażowanie w kościelne inicjatywy i lekko manifestowaną katolicką wiarę.

„To w pewien sposób symbol tego miasta – opowiadała Sobieraj. – Ludzie o bardzo różnych poglądach, o różnej historii, teoretycznie z dwóch stron barykady. Ale zdolni dogadać się zawsze, gdy chodziło o dobro Sandomierza”.

– To w pewien sposób symbol tej dziury – mówił Wilczur. – Najpierw czerwoni i czarni mieli na zmianę coś do udowodnienia, w końcu uznali, że się dogadają dla dobra interesu. Nie na darmo urząd miasta jest w starym klasztorze dominikańskim, z widokiem na synagogę i dzielnicę żydowską. Żeby nie zapomnieli, co jest dobre dla geszeft – zażydłaczył. – Nie będę panu robił wykładu z historii, ale mówiąc w skrócie, za czerwonych miasto było be. Cacy był Tarnobrzeg z siarką, ewentualnie huta za rzeką, a tutaj to wydziwianie wykształciuchów, w sutannach na dodatek. W Warszawie nawet drogowskazy były na Tarnobrzeg. Bida tu była, nędza i pierdolony skansen. Przyszło nowe, ludzie się ucieszyli, ale na krótko, bo nagle się okazało, że to nie miasto, tylko świecka narośl na zdrowej tkance Kościoła. Kino zamienili na Dom Katolicki. Na rynku zaczęli odprawiać nabożeństwa. Na błoniach ustawili Jana Pawła wielkości latarni morskiej, żeby potem mieć pretekst, że żadnej imprezy tam zrobić nie wypada, to teraz tylko psy srają. No i zrobił się znowu pierdolony skansen, więcej kościołów niż knajp. A potem czerwoni wrócili do władzy i po chwili konsternacji się okazało, że jak jest dobry geszeft, to ajwaj, ajwaj, wszyscy mogą skorzystać. Że jak się na odzyskanych kościelnych gruntach postawi sklep albo stację benzynową, to wszyscy będą zadowoleni.

– Budnik brał w tym udział?

Wilczur zawahał się, zamówił następną wodę gestem godnym maltowej whisky.

– Pracowałem wtedy w Tarnobrzegu, ale ludzie gadali.

– To Polska, zawsze gadają. Słyszałem, że nigdy nie był w nic zamieszany.

– Oficjalnie nie. Ale Kościół nie musi organizować przetargów, może sprzedać, co chce, za ile chce i komu chce. To było dość dziwne, że najpierw miasto chętnie oddaje, w ramach naprawy komunistycznych krzywd, działki Kościołowi, a ten je zaraz potem sprzedaje pod stację benzynową albo supermarket. Nie wiadomo komu, nie wiadomo po jakiej cenie. A Budnik był wielkim orędownikiem tego, żeby Bogu, co boskie, Żydowi, co żydowskie.

Szacki wzruszył ramionami. Nudził się, męczyło go, że wszystkie wypowiedzi Wilczura były negatywnie nacechowane, przesyczone polskim jadem, lepkie jak stoły w Modenie.

– Takie biznesy jak Polska długa i szeroka, co to ma za znaczenie. Narobiło Budnikowi wrogów? Komuś nie załatwił? Załatwił nie tak, jak trzeba? Dogadał się z mafią? Na razie mi to wygląda na wioskowe przekręty, podnieta dla lokalnej gazetki szkolnej. Ale nic, za co się podrzyna gardło czyjeś żonie.

Wilczur podniósł do góry cienki, pomarszczony palec.

– Może tutaj grunty nie są tyle warte, co na Marszałkowskiej, ale nikt ich za darmo nie daje.

Zamilkł i zamyślił się. Szacki czekał, obserwując policjanta. Próbował o nim myśleć jak o lokalnym doświadczonym glinie, ale było w inspektorze coś, co go odrzucało. Wyglądał jak menel, a było to menelstwo tak z nim zrośnięte, że jakkolwiek by się ubrał i cokolwiek by pił, to zawsze będzie wódczanego menela przypominał. Nie było ku temu żadnych racjonalnych powodów, ale kredyt zaufania Szackiego topniał z minuty na minutę. Brakowało mu Kuzniecowa. Bardzo brakowało.

– Pan widzi, jak to miasto wygląda – kontynuował Wilczur. – Może jest ciągle senne, ale to cukiereczek, jakiego nie ma w Polsce, z zadatkami na nowy Kazimierz Dolny albo

i lepiej. Zbudują przystań, postawią parę spa, obok będzie szła autostrada z Warszawy do Rzeszowa i dalej na Ukrainę. Kawałek w drugą stronę autostrada ze stolicy do Krakowa. Pięć lat i tutaj będą korki z beemek w każdy piątek w każdą stronę. Jakie będzie przebiecie na działkach? Dziesięciokrotne? Dwudziestokrotne? Stukrotne? Nie trzeba geniusza, żeby to przewidzieć. I teraz proszę pomyśleć. Zna pan Sandomierz, ma dużo pieniędzy i wielkie plany. Hotele, restauracje, dzielnice willowe, atrakcje turystyczne. W tej ziemi są naprawdę miliardy. I pan to wie, ale może pan co najwyżej postawić budę w ogródku swojej willi, bo miejskie grunty inwestycyjne w glorii chwały wracają do kurii, żeby potem po cichu trafić do najbardziej zaufanych i znających, kogo trzeba. Gdzie pan mieszka?

– Wynajmuję na Długosza.

– A sprawdzał pan, ile kosztuje tutaj mieszkanie? Albo dom? Albo działka?

– Jasne. Mieszkanie sześćdziesiąt metrów około dwustu tysięcy, dom trzy razy tyle.

– W Kazimierzu mieszkanie tej wielkości kosztuje od pół miliona do miliona, dom właściwie bez górnej granicy, ale rozmowa zaczyna się od miliona w wypadku ruder na obrzeżach.

Szacki wyobraził sobie, że bierze najwyższy możliwy kredyt i kupuje tutaj trzy mieszkania, żeby zostać za kilka lat szczęśliwym rentierem. Miłe, bardzo miłe.

– Okej – powiedział wolno. – Następne pytanie: kto jest najbardziej wkurwionym budowniczym psiej budy w ogródku swojej willi?

Wilczur w odpowiedzi oderwał filtr od papierosa i zapalił.

– Musi pan jedną rzecz zrozumieć – powiedział. – Budnika nikt tutaj nie lubi.

Szacki zaczął się wiercić, spodziewał się przenikliwego lokalnego policjanta, a miał do czynienia z paranoikiem.

– Dopiero co namalowano mi obraz państwa Budników w samych pastelowych barwach, ulubieńców wszystkich, świeckich świętych. To prawda, że on sprowadził tu ojca Mateusza?

– Prawda. Mieli kręcić w Nidzicy, ale Budnik znał kogoś w TVP i namówił ich na Sandomierz.

– Prawda, że dzięki niemu krzaczory na bulwarze Piłsudskiego zamieniają się w park i przystań?

– Najprawdziwsza prawda.

– Prawda, że wyremontował Piszczele?

– Sama prawda. Nawet na mnie to zrobiło wrażenie, byłem pewien, że nie ma mocnych na ten wąwóz imienia morderców i gwałcicieli.

Szacki pomyślał, że nie słyszał o żadnych sandomierskich mordercach i gwałcicielach, nie licząc lokalnych knajp, gdzie smaki były mordowane, a podniebienia brutalnie gwałcone. Zachował uwagę dla siebie.

– To o co chodzi? – spytał.

Inspektor Wilczur wykonał nieokreślony gest, mający dać do zrozumienia, że stara się oddać coś nieoddawalnego w słowach.

– Zna pan typ głośnego społecznika, nieznoszącego sprzeciwu, bo zawsze jest w trakcie jakiejś krucjaty?

Szacki przytaknął.

– To był ten typ. Wszystko jedno, czy miał rację, czy jej nie miał, zawsze był nieprzytomnie wkurwiający. Znam ludzi, którzy głosowali po jego myśli, żeby już tylko dał spokój. Żeby nie mędził, nie wydzwaniał po nocach, nie latał po gazetach.

– Mało – skomentował Szacki. – Wszystko mało. Irytujący społecznik, kręcący jakieś swoje małe prowincjonalne lody; to wszystko mało. Jemu nie pocięli opon w samochodzie, nie zбили szyby, nie zabili psa. Jemu w okrutny, nieprzypadkowy sposób zarżnęli żonę.

Sobieraj oceniała denatkę jednoznacznie. Wspaniała, dobra, pozbawiona wad, z sercem na dłoni, nawet jeśli jej mąż był w swoich krucjatach zbyt agresywny i budził złość,

to przy niej wszyscy miękli. Ona pomagała, ona radziła, ona załatwiała sprawy. Chodząca dobroć z ustami, kibicią i sercem pełnymi wszystkiego, co najlepsze. Pani prokurator Sobieraj wygłosiła absolutnie pozbawiony obiektywizmu pean na jej cześć, po czym się rozbeczała. To było żenujące. Ale mimo wszystko wiarygodne. Tymczasem z relacjami Wilczura Szacki miał problem. Coś nie grało. Nie wiedział jeszcze co, ale coś było nie tak.

– Matka Elżbieta od Aniołów, tak ją nazywali – powiedział Wilczur.

– Wariatka?

Wilczur pokręcił głową.

– Kompletnie nie. Ucieleśniona dobroć.

– W opowiadaniu to była wariatka.

– To pan wie i ja, i ona też wiedziała i nienawidziła tej ksywki. Ale tak ją nazywali, myśleli, że to komplement. I będę z panem szczerzy: nie była z mojej bajki, lecz zasłużyła na każdy komplement. To naprawdę była dobra osoba. Nie będę się powtarzał, ale na pewno wszystko, co pan o niej usłyszał i co o niej jeszcze usłyszysz, to prawda.

– Może też była irytująca? Za bardzo społecznikowska? Za bardzo katolicka? Nie wiem, za mało kupowała na jarmarkach ludowych? To Polska, musieli ją za coś nienawidzić, obrabiać dupę za plecami, zazdrościć czegoś.

Wilczur wzruszył ramionami.

– Nie.

– Nie i już? Koniec błyskotliwej analizy?

Policjant przytaknął i oderwał filtr od papierosa, a Szacki poczuł obezwładniającą rezygnację. Chciał do Warszawy. Teraz. Zaraz. Natychmiast.

– A relacje między nimi?

– Ludzie zazwyczaj dobierają się w pary w tej samej lidze, zna pan na pewno tę zasadę. Piękni z pięknymi, głupi z głupimi, rozrzutni z rozrzutnymi. Tymczasem Budnikowa była tak ze

dwa, trzy szczelbelki wyżej niż jej mąż. Jak by to panu wytłumaczyć... – Wilczur zamyślił się, przez co jego twarz nabrała upiornego, trupiego wyrazu. W mdłym świetle pizzerii, za zasłoną papierosowego dymu, wyglądał jak nieudolnie animowana mumia. – Ludzie znoszą go tylko dlatego, że Budnikowa go wybrała. Myślą, że trudno, niech sobie będzie oszołomiony, ale w sumie ma rację, a jeśli przy jego boku stoi taka kobieta, to nie może być zły. I on to wie. Wie, że to wbrew naturze.

Sobieraj powiedziała: „Chciałabym, żeby jakiś mężczyzna był we mnie tyle lat tak zakochany. Chciałabym widzieć codziennie takie uwielbienie w czyichś oczach. Z zewnątrz mogli wydawać się niedobrani, ale to była wspaniała para. Każdemu życzyłabym takiej miłości, takiego uwielbienia”.

– Uwielbiał ją, ale było w tym uwielbieniu coś brudnego – sączył swój jad Wilczur – coś zaborczego, lepkiego, powiedziałbym. Moja była pracowała w szpitalu kilkanaście lat temu, kiedy stało się jasne, że Budnikowa nie będzie mieć dzieci. Ona rozpaczała, on wcale. Powiedział, że przynajmniej nie będzie się musiał nią dzielić. To była pasja, na pewno. Ale wie pan, jak to jest z pasjonatami.

Szacki wiedział, ale nie chciał się zgadzać z Wilczurem, ponieważ coraz mniej go lubił i wszelkie bratanie się z tym osobnikiem wydało mu się wstrętne. Nie chciał też przeciągać tej dyskusji. Dwie osoby opowiadały mu dziś o Budnikach, a miał wrażenie, że wciąż gównu wie, po nic mu ta nacechowana emocjonalnie ćwierćwiedza.

– Przesłuchał pan Budnika? – zapytał na koniec.

– Jest w strasznym stanie. Zadałem mu kilka technicznych pytań, resztę zostawiam panu. Jest pod dyskretną obserwacją.

– Gdzie był wczoraj?

– W domu.

– A ona?

– Też w domu.

– Słucham?

– Tak twierdzi. Oglądali telewizję, przytulili się, usnęli. Wstał nad ranem, żeby napić się wody, jej nie było. Zanim zdążył się na dobre zaniepokoić, dostał telefon od Baśki Sobieraj.

Szacki nie wierzył własnym uszom.

– To jakaś bzdura. Najgłupsze łgarstwo, jakie słyszałem w karierze.

Wilczur pokiwał potakująco głową.

11

Prokurator Teodor Szacki wyrzucił do śmieci resztki wędliny i serów, które zalegały w lodówce, zjedzony do połowy pasztet z puszki, kawałek pomidora, chwilę wahał się nad zawartością patelni, ale w końcu przedwczorajszy sos bolognese też wylądował w śmieciach. Większa część tego, co przyrządził. Cały czas gotował za dużo, tyle, że starczyłoby dla trzyosobowej rodziny i przygodnych gości. W Sandomierzu nie miał rodziny, nie miał przyjaciół ani znajomych i gości, czasami zmuszał się, żeby ugotować coś dla siebie, ale rytuał samotnego stania przy kuchni i samotnego jedzenia był potworny; próbował jeść przy włączonym radiu albo telewizji, lecz ta podróbka cudzej obecności tylko pogarszała sprawę. Nie mógł przełknąć ani kęsa, jedzenie stawało mu w gardle, zaczęło się kojarzyć z czynnością tak ciężką i depresyjną, że po każdym posiłku musiał długo dochodzić do siebie. I szło mu to coraz mozolniej.

Do sklepów szedł jak za karę. Uczył się kupować mniej i mniej. Na początku, tak jak z gotowaniem, odruchowo brał tyle, co zawsze. Przyzwyczajony, że ile by kupił, to i tak wszystko zniknie z lodówki. Ktoś sobie zrobi kanapkę, ktoś wróci głodny, coś się przekąsi przy wieczornej telewizji. Tutaj był tylko on. Najpierw zrezygnował ze wszystkiego, co paczkowane. W paczkach wędlin i serów było za dużo dla jednej osoby,

codziennie coś wyrzucał. Zaczął kupować na wagę, ale ciągle za dużo. Dwadzieścia deka wędliny, piętnaście, dziesięć. Ktorego dnia stanął przy kasie obscurnego sklepu społemowskiego w rynku. Jedna kajzerka, serek wiejski, mały kartonik soku pomarańczowego, pięć deka baleronu, pomidor. Ekspedientka zażartowała, że apetyt nie dopisuje. Wyszedł bez słowa, jeszcze jakoś trzymał się po drodze, ale w domu płakał, robiąc sobie śniadanie, a kiedy usiadł nad talerzem z dwiema kanapkami, histerycznie szlochał, nie mógł przestać, łyzy i smarki rozmazwały mu się na twarzy. A on wył, kiwając się w przód i w tył, nie mogąc oderwać zamglonego wzroku od kanapek z baleronem. Ponieważ zrozumiał, że stracił wszystko, co kochał, i nigdy tego nie odzyska.

Po wyprowadzce z Warszawy schudł piętnaście kilo. Tutaj go nie znali, myśleli, że zawsze był chudzielcem. Ale garnitury na nim wisały, przy kołnierzykach pojawił się nadmierny luz, w paskach musiał wypalić rozgrzanym nad gazem gwoździem dodatkowe dziurki.

Myślał, żeby rzucić się w wir pracy, ale tutaj nie było tyle pracy. Myślał, żeby wrócić do Warszawy, ale nie miał do czego wracać. Myślał, żeby znaleźć do towarzystwa kogoś, kto nie byłby jedynie wkładem do łóżka, ale nie miał na to siły. Dużo leżał, dużo rozmyślał. Czasami wydawało mu się, że już jest lepiej, że już stoi na twardym gruncie, ale wtedy grunt się osypywał, znowu musiał zrobić krok do tyłu. Nie widział, co tam jest, ale ten krok robił. Po drugiej stronie rozpadliny było jego dawne życie, kręciła się Weronika, Helcia, Kuzniecowa, przyjaciele. Światło, gwar, śmiech. U niego była z jednej strony ciemność, a z drugiej rozpadlina. Kolejny dzień, kolejne osuwisko, kolejny krok w tył. W końcu ciemność otaczała go z każdej strony, a on i tak codziennie robił krok w tył. Pogodził się, że tak to już będzie.

Nalał trochę wody do patelni po sosie i odstawił ją na kuchenkę. Pozmywa kiedyś.

Nie może tak być, pomyślał, odpychając od siebie świadomość, że to przeświadczenie nawiedza go codziennie. Nie może tak być. Ludzie żyją po rozwodach w zgodzie, przyjaźnią się czasami, razem wychowują dzieci, Demi Moore była na ślubie Bruce'a Willisa i odwrotnie, nie trzeba spać w jednym łóżku, mieszkać w jednym mieszkaniu, żeby tworzyć rodzinę. Przecież on, Weronika i Helcia zawsze będą rodziną, bez względu na to, co się wydarzyło i co się wydarzy.

Sięgnął po telefon, ciągle miał Weronikę pod szybkim wybieraniem. Tyle że teraz była Weroniką, a nie – jak kiedyś – Kotkiem.

– Tak?

– No cześć, to ja.

– No cześć, widzę przecież. Co chcesz?

Mogła być niemila. Rozumiał to.

– A tak dzwonię, czy wszystko okej. Co u ciebie, co u Helci. Chwila milczenia.

– Znowu?

– Jak to znowu? A to, przepraszam, jest jakiś okres, kiedy mogę dzwonić i dowiadywać się, co u mojej córki?

Westchnienie.

– Wszystko w porządku u twojej córki, zaganiam ją do odrabiania lekcji, jutro ma klasówkę. – Miała zmęczony, zniechęcony głos, jakby spełniała przykry obowiązek, Szacki poczuł, że w gardle rośnie mu kula agresji.

– A z czego klasówkę?

– Z przyrody. Teo, chcesz coś konkretnie? Przepraszam, jestem trochę zajęta.

– Konkretnie chciałem się dowiedzieć, kiedy moja córka tu przyjedzie. Mam wrażenie, że utrudniasz jej kontakt ze mną.

– Nie bądź paranoikiem. Wiesz, że nie lubi tam przyjeżdżać.

– Bo co? Bo jak zacznie, to wtedy jej ojczym będzie miał konkurencję i twój nowy wspaiały związek nie będzie taki wspaiały?

– Teo...

– No tak, ale chyba musi zrozumieć, że ja teraz mieszkam tutaj.

Nienawidził się za to, że w jego głosie pojawiły się płaczliwe tony.

– Wy tłumacz jej to sam.

Nie wiedział, co na to odpowiedzieć. Helcia niechętnie z nim rozmawiała, niechętnie słuchała. Lubiła swój nowy dom, oddalony o dwieście kilometrów kawalerskiej nory swojego ojca – nie. Kiedyś próbowała ten niesmak ukrywać, ostatnio przestała.

– Dobrze, to może ja przyjadę.

– Może. Jak chcesz. Teo... błagam, jeśli nie masz nic konkretnego...

– Nie, dzięki, ucałuj mojego borsuczka. Dobra?

– Dobra.

Czekała, czy jeszcze coś powie, czuł jej niechęć i zniecierpliwienie. Łowił dźwięki dobiegające z drugiej strony. Grał telewizor, szczerknął garnek, ktoś się zaśmiał, dziecko. Weronika odłożyła słuchawkę, a w małym mieszkaniu na Długosza w Sandomierzu zapanowała niezmacona cisza.

Szacki musiał coś zrobić, żeby nie myśleć. Praca, w końcu przecież ma normalną sprawę. Musi zrobić plan śledztwa, zastanowić się, przygotować etapy działania, wpisać wszystko w kalendarz. Dlaczego tego nie robi? Normalnie miałyby już trzy zeszyty zapisane notatkami. Gwałtownym gestem otworzył laptop, żeby poszukać informacji, przygotować się do jutrzejszego przesłuchania Budnika. Musiał się dużo udzielać w mediach, i on, i jego żona. Trzeba przejrzeć jakieś komentarze, plotki, sprawozdania z posiedzeń Rady Miejskiej. Wszystko.

Charakterystyczny dźwięk teleportacji z Mysta poinformował go o nadejściu nowej wiadomości.

From: redakcja@sztych.com.pl
Subject: Re: Prokurator pyta o brzytwomaczetę
To: teodor.szacki@gmail.com
Date: 15 kwietnia 2009 19:44 CET

Witam!

Nieźle mnie Pan wystraszył z tym prokuratorem, już myślałem, że naruszyliśmy jakiś paragraf, pokazując zdjęcia zbyt wielkich noży :-)
A tak w temacie, to musiałem spytać kilku poważnych kolekcjonerów, żeby potwierdzić własne rozpoznanie, i wszyscy są zgodni, że Pańska „brzytwomaczeta” to chalef, czyli nóż do rytualnego uboju zwierząt, używany przez szojcheta – żydowskiego rzeźnika.

Po rozmiarach można wnioskować, że przeznaczony jest do szlachtowania bydła (mniejsze są do drobiu i jagniąt), a po kondycji, że spokojnie mogłyby być użyte jeszcze w niejednej koszernej rzeźni. Powinien pan wiedzieć, że noże do rytualnego uboju muszą być w idealnym stanie, eliminuje je najmniejsza rysa, szczerba albo nierówność, ostrze sprawdza się paznokciem przed każdym użyciem i po użyciu. Chodzi o to, że tylko perfekcyjnie ostry nóż może jednym cięciem przeciąć przełyk, krtani, główną żyłę szyjną i tętnicę, a takie są warunki rytualnego, koszernego uboju. Żydzi wierzą, że to najbardziej humanitarny i bezbolesny sposób zabijania (ile w tym prawdy, to inna sprawa).

Mam nadzieję, że pomogłem i że nóż – swoją drogą, bardzo podobą mi się określenie „brzytwomaczeta” – nie został użyty w jakichś niecnym celach ;-)

Serdecznie,
Janek Wiewiórski
redaktor

Szacki przeczytał mail kilkakrotnie, nie myśląc już zupełnie o swoich prywatnych problemach. W kościelnym mieście z antysemicką przeszłością miał prowadzić śledztwo w sprawie

zabójstwa znanej działaczki społecznej, którą rytualnie zaszlachtowano, jak krowę w żydowskiej rzeźni.

Ktoś zapukał.

Będzie naprawdę niezła jatka, pomyślał Szacki, ganiąc się jednocześnie za niefortunny dobór słów, i otworzył drzwi. Klara stała za nimi golusienka, jak ją Pan Bóg stworzył. Spojrzał na jej śliczne, jędrne ciało, spojrzał na sterczące, młode piersi, na rozlewające się po szyi kasztanowe loki. I uśmiechnął się szczęśliwie i zachęcająco, nie czując do niej absolutnie nic.

Ale uśmiech był szczery. Prokurator Teodor Szacki miał sprawę i bardzo był z tego powodu szczęśliwy.

Nie wierzysz że to już koniec? Masz rację!
To był darmowy fragment powieści, jeśli chcesz
dowiedzieć się jak to się naprawdę kończy
(oraz dać się zaskoczyć kilka razy po drodze),
zapraszamy do nas:

www.heca.art



Copyright © Spółka Autorska Heca